Rok II. Kraków, dnia 20 Czerwca 1883 r. Nr. 12.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

CZTERY SŁOWA.

Zapatrzeni w nieb błękity
Oczekujem bożej łaski;
Mając zasług zbiór obfity
I wiekowej chwały blaski.
Śniąc czekamy co na jawie
Da nam losu przeznaczenie,
Bośmy w każdej świata sprawie
Nieśli chętnie — krew i mienie..
Myśl gdzieś leci za przeszłością...
I apatja nas pochłania,
I wciąż z wiarą i ufnością
Oczekujem — zmiłowania!..
I tak płyną dni i — lata
I nic nie chce nam dać świat..
Zasług zwleka się zapłata —
Ziarno nie chce strzelić w kwiat!..

O! z letargu czas się zbudzić
I trapiącej pozbyć zmory!..
Otrząść z marzeń i nie łudzić
Lotnym koniem — Wernyhory...
Pragnąc „przeszłość“ wskrzesić wielką
Trzeba w sobie wzbudzić życie,
Trzeba kroplą za kropelką
Zwolna żłobić w skał granicie...

Bo do wielkich czynów trzeba
Iście pracy Syzyfowej;
Krwawym potem zlana gleba
Byt nam tworzy narodowy!..
Nie słuchajmy sofizmatów
Zaczerpniętych z lotnych chmur —
Ani mglistych poematów
Wyśpiewanych Moll i Dur!..

Za pra-ojców naszych winy
Nam nie wolno drwić z ojczyzny —
Bo warcholstwa i doktryny
Jad — zaszczepia wrzód zgnilizmy!..
Bo gdy z nimi się zrównamy
Według jednej zasług skali,
Z wstydem — jednak im przyznany,
Żeśmy przy nich — bardzo mali...
Niech więc — gdy im świętą była
O ojczyźnie myśl przewodnia,
Wciąż nam świeci, jak świeciła
Ideałów ich pochodnia!..
W przyszłość patrzmy się z ufnością
Na jutrzenki złotej świt...
Tylko pracą i — miłością
Narodowy stworzym byt!..

Chociaż drogie nam wspomnienia
Naszej sławy i wawrzyny,

KRONIKA.

Umieszczony w zeszłym Nrze «Przeglądu» artykuł o pomniku Mickiewicza i opinja jaką wyraziło «Koło artystyczno-literackie,» bardzo niesmaczne wywarły wrażenie. Jak bowiem można tak nielitościwie, drwiąco i nietaktownie obejść się z pomysłem radcy Rzewuskiego, za którym stać mają takie powagi artystyczne jak dwie ekscellencje, i za którym stoi taka wielkość polityczna jak Gazeta Krakowska.

Projektu radcy Rzewuskiego lekceważyć nie należy. Owszem wiele on zyskał w moich oczach wobec innych projektów na moje ręce nadesłanych, o których niniejszem mam zaszczyt zawiadomić komitet pomnikowy.

Projekt pierwszy nadesłał mi pewien konserwatywny obywatel z Kleparza. «Jeżeli idzie o to — są słowa listu obywatela A.— aby ukryć pomnik Mickiewicza, to zamiast stawiać go w ogródku uniwersyteckim, lepiej przeznaczyć dlań wnętrze rotundy bramy floryańskiej. Zasłoni się tem samem pomnik od wiatru, nie wystawi się go na widowisko gawiedzi i przekupek (brrr!), powiąże się go z przeszłością, a nawet w niej zamknie. Tam postawiony pomnik nie potrzebuje być wielkich rozmiarów, bo niema zresztą na to miejsca, a bliskość muzeum i biblioteki Czartoryskich wynagrodzi oddalenie od Biblioteki Jagiellońskiej. Nie należy także zapominać, że o sto kroków od rotundy mamy szkołę Sztuk Pięknych, o trzysta kościół Śgo Florjana, patrona od ognia, nieco dalej rogatkę warszawską, co będzie symbolem łączności z Warszawą, a przy rogatce koszary wojskowe, daleko piękniejsze od rajtszuli stojącej naprzeciw budynków uniwersyteckich. Tylko w Niedziele i Święta rotunda byłaby otwieraną, przez co pomnik by się nie opatrzył i nie spospolitował.»

Projekt drugi introligatora B. opiewa: «Należy na błoniach za rogatką wolską wyciąć wielki foremny kwadrat. Na linji A—B tego kwadratu stanie muzeum narodowe wzniesione kosztem miasta. Linja B—C zabudowaną będzie uniwersytetem dla kobiet, o którego wzniesienie wysoki rząd winien się postarać. Gmach Towarzystwa muzycznego rozpostrze się na linji C—D. Ostatni bok kwadratu wypełni przeniesiony z Wesołej zakład fotograficzny radcy Rzewuskiego. Jeżeli na środku tego placu stanie pomnik Mickiewicza, to śmiało będzie można powiedzieć, że oprawiono go in folio w skórę ze złoconemi brzegami. Złotym wyciskiem tej oprawy będzie kopiec Kościuszki, a płynące i niknące w dali fale srebrzystej Rudawy wypowiadać będą naukę o znikomości rzeczy ludzkich. Z kogóż jeżeli nie z kobiet rekrutują się matki dzieci naszych? któż jeżeli nie matka daje nam pierwszą lekcję broszurowania uczuć szlachetnych?— czyż więc może być wznioślejsza myśl nad postawienie pomnika Adama przed uniwersytetem kobiecym? Te dziewice to przyszłość nasza, muzeum to przeszłość, zakład fotograficzny Walerego Rzewuskiego to te-

Lecz nie zbawią nas marzenia,
Ale wielkie zbawią — czyny!..
Rozbudzonym ogniem z ducha
My zapalmy stos nadziei!..
Niechaj płonie i wybucha —
Swiecąc naszych dróg kolei!..
Niosąc przed się święte hasło
Wzbudźmy ogień w zimnem łonie,
Aby nigdy nie wygasło,
Co tli tylko — a nie płonie...
Bo dziś deską ocalenia
Narodowych zmycie win —
A sztandarem odkupienia:
Prawda — praca — myśl i — czyn!..

Bieniów 1883.

Edmund Prus.

Ostatnie wiązanie.

NOWELLA

przez

LUDWIKA KOZŁOWSKIEGO.

— ;... Uważasz tedy, moja kochana Marysiu, — meble w tym ślicznym salonie były obite jedwabną, bardzo ciężką i grubą materyą, tak pięknego jasno-różowego koloru, iż zdawało się, że ktoś poobrywał listki z całego gaju róż rozkwitłych i osypał nimi krzesła, kanapy i sofy.... A były to meble z drzewa massif mahoniowego, ozdobione przepyszną rzeźbą, krzesła zaś stały tak poważnie i wdzięcznie szeregiem, jak za moich czasów dobrze wychowane panny, gdy znakomity gość jakiś zjawiał się w salonie. A gdybyś widziała jaki to był salon, jakie miał piękne, złociste obicie, jakie obrazy, jaki sufit, malowany w boginie i aniołki!.... Pst!... Czy słyszysz, Marysiu?.... deszcz nawalny leje!.... Co za szum szkaradny na tem poddaszu! Obaczno, proszę cię, czy nie przecieka tam czasem na moje biedne łóżko.... Pamiętasz, jak zamokło było podczas ostatniej ulewy?... Obacz-że!... O Boże wielki, — na jak ciężkie skazałeś mię koleje!...

Rzeczywiście deszcz lał jak z cebra, a potoki jego miotane wiatrem, obijając się o dach, sprawiały nieznośny szelest w niskiej izdebce poddasza, w której właśnie siedziała w staroświeckim fotelu, zgrzybiała, wątła, chora, obłożona poduszkami staruszka. Mały, okrągły stoliczek stojący tuż przy fotelu, mieścił całą baterye flaszek i pudełek aptecznych, a przy nich leżał wypukły, srebrny zegarek, którego kształt zdradzał pochodzenie z bardzo dawno minionej epoki. Widok z jedynego okna tej izdebki był bardzo niewesołym zawsze, a cóż dopiero w tej chwili, w szarą godzinę i podczas słoty. Nic, oprócz zamglonych smugami i bryzgami deszczu dachów i kominów, nie można było ztąd dojrzeć, a mały klin nieba, na którym w czasie pogody zatrzymywało się oko z pewną pociechą, był teraz szarym i brudnym, jak zbrukana ulicznym błotem szmata. W umeblowaniu i przybraniu izdebki przeglądała wszędzie wielka nędza, przy wyraźnych śladach dawnej zamożności. Wytarty, spłowiały, świecący tu i owdzie dziurami kobierzec, był jednak widocznie «niegdyś» bardzo kosztownym, tylko snać przez długie, bardzo długie lata, pełnił swą ciężką i pokorną służbę. Obciągnięte bezbarwną jakąś, tu i owdzie zdartą i postrzępioną, ale jedwabną materyą krzesła, były też rówieśnikami kobierca, a przeciąg lat mnogich przyprawił je o liczne kalectwa i braki. Sama jedna tylko komoda mahoniowa, potrafiła zachować całą swą dawną godność i powagę i dumnie wystawiała na pokaz bronzowe antaby..., Mały, żelazny piecyk, stojący w kącie na ceglanej podstawie, bardzo niedostatecznie ogrzewał izdebkę, a jeszcze gorzej pełnił obowiązki kuchni, gdyż mógł pomieścić zaledwie jeden garnuszek, w którym też w tej chwili kipiał leniwie jakiś klejek, będący codziennie, naprzemian z lichą herbatą, jedynem ciepłem pożywieniem i staruszki i jej służącej, trzynastoletniej dzieweczki z bladą, nieładną, lecz bardzo dobrego wyrazu twarzyczką.

Ale to przygnębiające ubóstwo otoczenia, rzadko kiedy na przykre naprowadzało myśli dwie mieszkanki nędznego poddasza. Być może, że już doń przywykły — bo do wszystkiego w końcu się przywyka, a może też były tu powodem: ze strony dziewczynki — nieświadomość lepszych warunków życia, ze strony zaś jej pani — właściwa zgrzybiałej starości zdolność — karmienia się wyłącznie wspomnieniami przeszłości, zupełnie absorbującemi tych, o których świat zapomniał, dla których więc teraźniejszość i przyszłość już nie istnieją.

Na wezwanie staruszki, Marysia wstała z nizkiego stołka, na którym u stóp swej pani siedziała, zasłuchana w jej opowiadanie — i poszła do kąta, gdzie stało łóżko.

— Trochę przecieka, panniusiu — rzekła. — Ale to nic: ja zaraz łóżko usunę, pościel nie zamoknie.

---

raźniejszość, a wszystko to ujmie w jedną harmonję Towarzystwo muzyczne. Dodajmy do tego widok na Wawel, bliskość Wisły i Łobzowa, a pojmiemy, że różnica między tem miejscem a Rynkiem będzie równa co najmniej różnicy jaka zachodzi między oprawą w papier a w płótno angielskie z wyciskami.»

Wobec tych dwóch projektów potrzeba przyznać projektowi radcy Rzewuskiego, że jest łatwiejszy do wykonania niż projekt introligatora B., a więcej estetyczny niż projekt obywatela A. z Kleparza. Plac radcy Rzewuskiego ma i tę wyższość nad pierwszym z proponowanych placów, że kiedy można go dobrze zobaczyć już z pierwszego piętra biblioteki Jagiellońskiej (jak radzi Gazeta Krakowska), to plac obywatela A. mogłby być widziany jedynie z dachu owej rotundy. W każdym razie gdyby dobrze pochodzić, to każdy z owych projektów znalazłby przynajmniej kilku zwolenników, między którymi znajdowałyby się i ekscellencje.

Ekscellencja Smolka ma rzeczywiście szczęście. Przyszedł do niego pan Bloch i oświadczył, że życzy sobie być posłem z Kołomyi. «Ha — no, staraj się pan, staraj» odpowiedział mu Ekscellencja Smolka, bo i cóż miał powiedzieć? Jakoś to przecie głupio komuś oświadczyć: a panu co wlazło do głowy? Przyszedł radca Rzewuski i przedstawił swój wiekopomny projekt. Ekscellencja skłonił głową i dodał: a! tak—tak — hm — zapewne — przedstaw pan, przedstaw.» I nuż radca ucieszony trąbić jak pan Bloch całemu światu, że eks. Smolka popiera jego myśli. W ten sposób można znaleźć poparcie i cesarza brazylijskiego i królowej Wiktorji i nawet waszego kronikarza, któremu przykro byłoby powiedzieć: «panie Rzewuski! dobry wać radca, ale zły estetyk.»

Zresztą gdyby i było paru mężów stanu za projektem radcy Rzewuskiego ciekawy jestem, co by ci mężowie powiedzieli, gdyby im przy rozprawie nad jakąś kwestją polityczną postawił ktoś argument: panowie musicie być za tem, gdyż takiego zdania jest Matejko i Siemiradzki! Tożby to się śmiało «Słowo» z owego jegomościa, tożby za «Słowem« trzymał się za boki «Tygodnik Illustrowany,» tożby wszystkie pisma humorystyczne pisały wierszem i prozą na temat Filipa z Konopi. Dlaczego «Słowo» z «Tygodnikiem Illustrowanym» nie śmieje się teraz — to i małodomyślny zrozumié. Poprostu wstyd im, że się dali złapać na plewy.....

W sprawie tej pomnika Miekiewicza otrzymałem jeszcze jeden komunikat następującej treści:

«Szanowny kronikarzu! Jestem człowiekiem pracy i nie mam czasu na zbijanie bąków. Z przykrością dowiedziałem się o agitacji pana Rzewuskiego za swoim niefortunnym projektem, ze zdziwieniem zaś przeczytałem w jednem z pisemek, że Mickiewicz powinien stać na ustroniu, aby wielbiciele jego geniuszu mogli spokojnie, zdala od gwaru, wśród woni drzew, i kwiatow usiąść na ławeczce przy jego posągu i du-

— Usuń, usuń, moje dziecko, jeżeli będziesz mogła, bo to ciężar.

— E, panniusiu, ja sobie jakoś dam rady; nie jestem znów taka bezsilna.

I rzeczywiście, acz z niemałym wysiłkiem, odsunęła od ściany ciężkie, stare i skrzypiące łoże.

— O Boże kochany! — zagaiła z westchnieniem staruszka.— Gdyby to mój biedny ojciec nieboszczyk obaczył, do czegom ja dożyła!...

Dziewczyna usiadła znów na dawnem miejscu i wlepiła ciekawe oczy w twarz swej pani.

— Pannuńciu kochana — rzekła naiwnie — to pannuńcia miała kiedy ojca?... Dawno to?

— Czyż jestem już tak bardzo starą, że wydaje ci się to niepodobieństwem?... — zapytała zgrzybiała panna, usiłując uśmiechnąć się raźnie, co się jej przecież nie powiodło.

— Nie panniusiu!... Tylko ja tak jakoś zapytałam... głupio... Ja chciałam to powiedzieć, że ojciec pannusi miałby już teraz chyba lat ze sto, albo może i więcej?....

— O tak, tak, moja Marysiu, miałby...

— Niech pannuńcia z łaski swojej jeszcze coś opowie.... Najlepiej o tych ślicznych dawnych czasach, jak to pannuńcia mieszkała kiedyś.... Ten deszcz nieznośny przerwał, a panniusia opowiadała właśnie o tym cudnym domu, o tym salonie z różowemi kanapami, złocistemi ścianami i malowanym sufitem. Mnie się zdaje, że ludzie, którzy mieszkali w tym domu i w takich salonach, nigdy już nie myśleli o niebie?...

— Co też ty pleciesz, dziecko!... Myśleli, myśleli i o niebie, dlaczegóż?... A ty, chyba tak często myślisz o niebie?... Co?...

— O, myślę, pannusiu!... Tam będzie lepiej, niż tu... Tam aniołowie śpiewają, grają na harfach... I ja może tam będę grała na harfie?...

Staruszka nie odpowiedziała nic na to, lecz oczy jej przygasłe zabłysły chwilowo jakąś iskierką życia, a chuda, zciemniała, okryta wypukłemi żyłami, a zimna jak marmur drobna rączka, podniosła się do czoła, jak gdyby dopomódz chciała głowie do przywołania mglistych jakichści wspomnień.

— Mój Boże! — rzekła wreszcie staruszka, odejmując rękę od czoła i patrząc na nią. — Mój Boże!... Ktoby to teraz uwierzył, że ta skostniała ręka niegdyś nietylko malowała piękne kwiaty i haftowała cudowne desenie na atłasach, lecz grała, jak utrzymywano bardzo ładnie na harfie i na klawikordzie!... Ktoby pomyślał, że ten mój głos słaby dziś i złamany, niegdyś słodkie pieśni śpiewał, miłosne, patryotyczne, kościelne!...

— Doprawdy, pannuńciu?.... Pannuńcia umie śpiewać?... Moja złota, moja dobra, moja jedyna panniusiu! Proszę mi zaśpiewać jaką ładną, uczoną piosenkę! Choć tylko jedną, jedniuteńką, moja złota!...

I Marysia osypywała pocałunkami rękę swej pani.

— Marysiu!... dziecko! Co ci przychodzi do głowy?.. Czyś oszalała?...

— Moja pannuńciu, moja srebrna gołąbko!... Proszę zaśpiewać!... Ja tak to lubię, tak lubię!... A pannuńcia śpiewa pewno bardzo ładnie!...

Trudno powiedzieć, czy chcąc zrobić przyjemność dziewczęciu, czy też inny jakiś głos z dawno minionej przeszłości zabrzmiał w sercu staruszki i wpływał na jej decyzję, dość, że dobra pani uległa prośbom służącej i poczęła śpiewać przyjemnym, słodkim i pełnym precyzji, chociaż bardzo już złamanym i bardzo drżącym głosem, znaną piosnkę, która niegdyś zachwycała i nastrajała do poetycznych uniesień wielkiego Adama:

«Nie wiem z jakiego powodu
«Wyszła Filis do ogrodu»...

Lecz przy zwrotce: «Ach, Filonie! pocóż pytasz?» nagle zamilkła, przyłożyła chustkę do oczu i tak siedziała chwilę wzruszona snać bardzo, bo przyśpieszony oddech wysoko zeschłą pierś podnosił...

Któż zgadnie, jakie widma przeszłości przesuwały się w tej chwili przed oczami ducha zgrzybiałej panny? Jaki «Filon,» z grobu powstały uśmiechał się do niej w tej chwili, pokręcając zalotnie złocisty swój wąsik?.. Któż zgadnąć może, jaką stronę serca, dawno obumarłą, zbudziła chwilowo nuta piosenki?..

Ale Marysię, zwyczajnie młode dziecko, niecierpliwić to milczenie zaczęło; wstała tedy i tak nieostrożnie poruszyła żelazne szczypce stojące przy piecyku, że te upadły z hałasem i obudziły staruszkę z marzeń...

— Jeżeli chcesz Marysiu, — rzekła uśmiechając się smutnie, to sprobuję jeszcze innej piosnki, patrjotycznej, którą za moich czasów śpiewano w Polsce wszędzie, od salonów do chatki ubogiej... Może mi się ta lepiej uda niż tamta...

I nie czekając odpowiedzi, zaczęła nucić pełnym, wysokim sopranem, jasno markując marszowe tempo:

«Już się trąby odezwały —
«Do ataku dobosz bije...»

---

mać. Jakto! panie kronikarzu! więc pomnik wielkiego wieszcza ma być dla samych tylko próżniaków, co nie mając nic do roboty mogą sobie odbywać spacerki, wąchać róże, rozwalać się po ławkach i myśleć o niebieskich migdałach?. Nam ludziom ciężkiej pracy, miło byłoby parę razy dziennie przechodząc przez Rynek, (bo któż przezeń codziennie nie przechodzi) spojrzeć na postać Adama, widokiem jego rozbudzić spoczywające na dnie duszy uczucia, przypomnieć sobie jego szczytne myśli, zaczerpnąć wiary i otuchy w przyszłość. Pomniki takich ludzi jak Adam nie są wyłącznie dla egzaltowanych bab i podlotków, starych emerytów i młodych próżniaków, wałęsających się po plantacjach, ani dla tych jaśnie wielmożnych, co prowadząc bezczynne życie sądzą, iż każdy ma dwanaście godzin dziennie dla własnej przyjemności. A możeby jeszcze przeprowadzić strumyk obok pomnika, zasiać brzegi jego niezapominajkami i posadzić nad nim pasterkę z dwiema owieczkami. Najtrudniej jednak byłoby zwolennikom sielanki o tę woń kwiatów, gdyż lubo obok biblioteki woń się rozlewa, trzeba mieć dużo fantazji i zaparcia się, aby poczuć w niej «oddech róży» i «balsamiczną rozmowę fiołków.»

Z mojej strony czuję tylko wdzięczność dla radcy Rzewuskiego za dostarczenie mi materjału do kroniki, w ogórkowych bowiem czasach musiałbym pisać chyba o deszczu co od dni kilku leje, a to nie byłoby ani przyjemnem, ani wesołem. Tymczasem wyrośli jak grzyby po deszczu «projektowicze» i «protestanci» i ci kronikę moją wypełnili. Dziękując zaś im za współpracownictwo, część wdzięczności przelewam na radcę Rzewuskiego, mając nadzieję, że tenże za reklamę i serdeczne poparcie z mojej strony, choć tuzin gabinetowych zdjęć z mojej osoby, zechce mi przysłać w upominku. Co niechaj się stanie!

K. B.

ECHA.

Otrzymaliśmy następujące zawiadomienie:

Szanowna Redakcyo!

Walne Zgromadzenie członków «Koła artystyczno-literackiego,» odbyte w dniu 13 czerwca b. r. poleciło podpisanym zawiadomić Szanowną Redakcją o następującej *jednogłośnie* powziętej uchwale:

«Ponieważ pomimo uznania przez ogół rynku krakowskiego za najwłaściwsze miejsce na pomnik Mickiewicza i pomimo stanowczej w tej mierze uchwały pełnego Komitetu, pojawił się projekt wzniesienia pomnika wieszczowi na placu między budynkami uniwersyteckiemi, popierany przez kilka nieobeznanych z miejscowością dzienników warszawskich—Walne Zgromadzenie członków «Koła artystyczno literackiego» *jednogłośnie* uchwala wyrazić opinją, że miejsce nowoprojektowane tak z uwagi na znaczenie pomnika, jakoteż i ze względów estetycznych jest *najzupełniej nieodpowiedniem.* O

Ale w początku trzeciej zwrotki głos jej urwał się znowu, zadrżał — i biedna śpiewaczka poczęła łkać nerwowo — a łzy jednym strumieniem spływały po zrytem marszczkami licu...

Ciąg dalszy nastąpi.

LASECZKA PAJACA.

(„Un tour de marotte.“)

Niechaj Momus, Bóg pustoty,
Doda muzie mej ochoty
W tym ponurym czasie...
Niech użyczy swej laseczki
Da grzechotki i dzwoneczki:
Muzo! to ci zda się!..
A więc stań!.. Zapłać dań!..
Mej niewinnej chęci...
Raz — dwa — trzy!.. Sypią skry!..
Muza laską kręci!..

Brzęk i brzdąk z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko!.. leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!

O najcudowniejsza lasko!..
Wszędy pod powagi maską,
Ty się zręcznie kryjesz:
Od kolebki — aż do zgonu,
Od barłoga — aż do tronu —
Brzęczysz, dźwięczysz, żyjesz!..
Stań się stań!.. Wszyscy dlań
Dobre mają chęci:
Czepiec, kask, mitra, blask, —
Wszystko laską kręci!..

Brzęk i brzdąk z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko! Leć, brzmij i świeć
Jak ognista raca!..

Ej! Laseczka ta brzęcząca,
Berło królom z rąk wytrąca,
Głupców darzy władzą!..
Momus za to im zaręczy, —
Tylko niech ta laska brzęczy
I niech dużo kadzą!..

Stań się — stań!.. Płacą dań
Króle błaznów chęci:
Lasko, dzwoń!.. Króla dłoń
Raźnie tobą kręci!..

Brzęk i brzdąk, z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko! leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!..

Czemu nieuk orłem wzlata?..
Dworak ma szacunek świata,
Chociaż zgina szyję?..
Czemu doktór, choć rznie wściekle,
Jakby był dostawcą w piekle,
Przecież szumnie żyje?..
Stań się, stań!.. — płacąc dań
Pajacowskiej chęci, —
Każdy z nich, jak na śmiech,
Brzęczy, dzwoni, kręci!..

Brzęk i brzdąk, z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko! leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!..

Ta laseczka, miła, dźwięczna,
Do wszystkiego bardzo zręczna,
Damy za nią gonią!..
Wielkie panie, małe trzpiotki,
I aktorki i dewotki, —
Lubią gdy im dzwonią!..
Stań się — stań!.. Paniom dań!..
Wiedzmy co się święci:
Głośno dzwoń, śmiało goń, —
Zrozumieją chęci!..

Brzęk i brzdąk, z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko!.. Leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!..

Strojny w togę literacką,
Ktoś — książczynę swą partacką,
W której muzy dręczy,
Puszcza w świat nietrwożną dłonią...
Czemuż ludzie za nią gonią?..
Bo on głośno brzęczy!..

---

uchwale tej poleca Walne Zgromadzenie zawiadomić Jaśnie Wielmożnego Prezydenta miasta Dra F. Weigla, jako przewodniczącego komitetu pomnikowego, oraz wszystkie Redakcje czasopism polskich.»

Wypełniając wolę Walnego Zgromadzenia mamy zaszczyt itd.

Juljusz Kossak, prezes „Koła“ — *Dr. Adam Asnyk,* zast. prezesa.

K. Bartoszewicz, sekretarz.

Do powyższego zawiadomienia «Koła» to jeszcze dodać powinniśmy, iż Walne Zgromadzenie składało się według wymagania statutu z samych członków zwyczajnych, to jest literatów i artystów.

* * *

Na temże Walnem Zgromadzeniu «Koła» p. K. Bartoszewicz zdawał sprawę z dotychczasowych przygotowań do zjazdu literatów i artystów polskich w Krakowie w d. 8, 9 i 10 Września.

Celem głównym zjazdu jest wzajemne poznanie się ludzi pracujących na pokrewnych sobie polach. Takie zbliżenie się towarzyskie może wiele dobrego zrobić na punkcie łączności, zatrzeć nieuchronne nieporozumienia, wywiązać serdeczne stosunki koleżeńskie. Walka na polu przekonań politycznych i społecznych, oraz zapatrywań się na sztukę i literaturę, nie powinna doprowadzać do polemiki osobistej, do wycieczek prowincjonalizmu, jakie niestety w ostatnich czasach coraz częściej się pojawiają. Przy odnowieniu znajomości, przy poznaniu się i serdecznej pogadance niejedno puści się w niepamięć, niejedna myśl może się wyłonić i przyjąć. Dziś potrzeba takich zjazdów towarzyskich ludzi jednego lub pokrewnych zawodów, uznaną została w całym cywilizowanym świecie, do czego dały impuls ulepszone środki komunikacyjne. Zjazd literatów i artystów dla ogółu, a względnie dla publiczności krakowskiej będzie miał większe niż inne zjazdy znaczenie, ludzie bowiem pióra i pędzla więcej są znani, niż ludzie innych zawodów — ztąd zjazd ich więcej zainteresuje, więcej wzbudzi ciekawości.....

Oprócz tego głównego celu towarzyskiego, że się tak wyrazimy, będzie miał zjazd i cele poważniejsze. Komitet programowy przedstawił już pięć punktów, pomiędzy któremi na główne wyróżnienie zasługuje projekt założenia towarzystwa literatów i artystów dla niesienia pomocy członkom dotkniętym ciężką chorobą oraz wdowom i dzieciom po członkach pozostałym. Sprawa perjodycznych wystaw sztuki polskiej także na szczególną zasługuje uwagę.

Ciekawa dyskussja rozwinie się zapewne około projektu pisma informacyjnego literacko-artystycznego.....

Odezwę wzywającą do udziału w zjeździe podpiszą najwybitniejsi przedstawiciele literatury i sztuki, bez względu na przekonania i stronnictwa do jakich należą. Komitet gospodarczy wybrany być ma 26 b. m. i zaraz rozpocznie swoje czynności.

Stań się — stań!.. Płacą dań
Literackiej chęci,
Bo ten żak głupcom w smak,
Dzwoni bez pamięci!..

Brzęk i brzdąk, z rąk do rąk,
Laseczko pajaca,
Piosnko! Leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!..

Stary mąż ma żonę młodą,
Sławną wdziękiem i urodą...
Młodzież na tem zna się:
A więc pieczęć pana męża
Pomalutku nadweręża:
Superata w kasie!..
Stań się — stań: żona dań
Płacąc lubej chęci,
Dzwoni wciąż: „drogi mąż!..“
Mile brzęczy, kręci!..

Brzęk i brzdąk, z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko! Leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!..

Hej! Panienka tam młodziutka!..
Jak niewinna, naiwniutka!..
Zdaje się — aniołek!..
Ale zna już swoje miody
Dzwoni, dzwoni kwiatek młody —
Wabi stadko pszczółek!..
Stań się — stań!.. Anioł dań
Płaci ziemskiej chęci:
Z lubych ust dzwoni gust...
Wiemy, co się święci!..

Brzęk i brzdąk, z rąk do rąk,
Laseczko pajaca!..
Piosnko! Leć, brzmij i śnieć,
Jak ognista raca!..

Nawet ja gdy jestem goły,
Więc ponury, niewesoły, —
A wy, przyjaciele,
Chcecie, bym pustotę śpiewał
I wesołość w innych wlewał, —
Chwytam laskę śmiele:
Stań się — stań!.. druhom dań
Płacę z całej chęci:
Lasko! dzwoń, — muzę goń, —
Niech się z tobą kręci!..
Raz — dwa — trzy!.. muza drży
Do laski pajaca...
Piosnko! Leć, brzmij i świeć,
Jak ognista raca!

Z Berangera **L. Kozłowski.**

RODZINA BARDY.

NOWELLA

Maurycego Jokaja tłom. z oryginału L. Majewski.

Ciąg dalszy.

Rozwidniało. Słońce rzucało blado czerwone swe promienie na góry okoliczne.

Czasami ruszył się omdlały młodzieniec, szepcząc: «Jolanko.» Promień słońca spoczął na jego twarzy i obudził go.

Znalazł się w małej schludnej izdebce, oświetlonej przez słońce, wciskające się małem okienkiem.

Łóżko, na którem leżał, z prostego wyciosane drzewa, zasłane było skórą niedźwiedzią: u nóg stał obrócony tyłem sążnisty mężczyzna i założywszy na krzyż ręce wyglądał przez okno.

Przy pierwszem poruszeniu młodzieńca obrócił się ku niemu. Był to trybun.

— Gdzież jestem? zapytał Emeryk odurzony, starając się przypomnieć przygody przeszłej nocy.

— U mnie w domu — odparł trybun krótko.

— Któż ty jesteś?

— Nazywam się Numa,—jestem trybunem w wojsku rumuńskiem, nieprzyjacielem twoim w bitwie, a ty jesteś moim gościem, którego mam obronić.

— Czemuś mię nie zostawił na ofiarę twoim ludziom?

— Bo nierówną była walka. Stu przeciw jednemu.

— Gdyby nie ty, byłbym się przebił!

— Bezemnie byłbyś zginął. O dziesięć kroków dalej byliby cię niezawodnie ukamienowali ze skały.

— A ty nie chciałeś tego?

— Pewnie, bo byłoby to hańbą narodu rumuńskiego.

— Jesteś marzycielem, trybunie.

— Równie jak i ty. Znam cię z Klauzenburga. To co ciebie zagrzewa, rozpala i mnie. Ty kochasz swój naród, ja mój ubóstwiam. Twój wykształcony, większy, mój podupadły, osierocony. Ciebie uszczęśliwia miłość ojczyzny, mnie nie daje odpoczynku. Ty chwyciłeś za szablę w obronie ojczyzny twojej nie znając liczby nieprzyjaciół i sił przyjaciół, to samo i ja uczyniłem; być może, że my zginiemy, ale być może, że i z was nie zostanie śladu, albo, że wspólnie zginiemy, ale nie zginie ojczyzna przez to, że się broń zawiesi na kołku.

— Nie rozumiem twego żalu.

— Nie rozumiesz? Czy uwierzysz młodzieńcze, że mimo przeszłości tysiąca czterystu lat, jak dzielne hufce Diurbanusa pokonane zostały przez rzymskie orły, tu wśród zgłupiałego narodu, znajdują się jeszcze rodziny, u których z ojca na syna przechodzą wieści dawnej sławy, że są tu ludzie, którzy ci pokażą, który las stoi dzisiaj w miejscu Sarmisegethuzy i co to za miasto, gdzie niegdyś Decabal sławne kohorty konzulów szykował. Oh biada temu miastu, kiedy te groby, nad któremi stoją pałace, otworzą się a ludne jego ulice staną się placem boju. Cóż się to stało z tym narodem, spadkobiercą takiej sławy, z potomkami groźnych Daków i podbijających cały świat legionów. Ja nie oskarżam nikogo, że go unieszczęśliwił, ale niechaj mnie nikt za złe nie bierze, że chcę go uczynić tem, czem był przedtem.

— I zdaje ci się, że nadeszła do tego pora?

— My nie mamy proroków, ale wasi też nie dużo warci. Spróbujemy teraz, a jeźli się nie uda, powtórzą to nasi wnukowie, nie mamy nic do stracenia, co najwięcej kilku ludzi, a to tani towar. Wy więcej kładziecie na szalę, wy macie więcej do stracenia, a przecież biegniecie pod chorągwie bojowe. Cóż dopiero gdybyście tem byli, czem my, — narodem nic nie mającym, nie posiadającym jednego majętnego człowieka, jednej wykształconej głowy, gdzie prawie co trzeci nazywa się popem, a każdy ledwo setny umie czytać; narodem wykluczonym z urzędu, z dostojeństw, wegetującym z ciężkiej swej pracy i niemającym ani jednego większego miasta w ojczyźnie, której jedną trzecią część uprawia. I czyż ma przyczynę pytać się ten naród, czy już czas umierać lub się odrodzić? Nie posiada nic prócz nędzy, a tej mu nikt nie odbierze. Nie dobrze ten zrobił, kto dopuścił, aby ten naród podupadł.

— My nie za naród, ale za wolność chwyciliśmy za broń.

— Źle zrobiliście. Mnie wszystko jedno, kto panuje nademną, byle był sprawiedliwym i wywyższył mój naród, gdy tymczasem ty podzieliłbyś się wielkością, wpływem i siłą twego narodu, byle nikt nie panował nad nim.

Dziki krzyk przerwał rozmowę dwóch przeciwników. Tłum Wołochów walił się w nieładzie ku pomieszkaniu trybuna, niosąc na przodzie znak zwycięztwa: czerwone czako huzara.

— Gdybym cię był opuścił, teraz zamiast czaka pokazywaliby twoją głowę.

Zgraja zatrzymała się przed okienkiem trybuna i spostrzegłszy go powitała głośnym okrzykiem.

Trybun miał do nich krótką po wołosku przemowę, po której wystąpiło kilku krzycząc i wskazując na wywieszone na drągu czako.

Trybun zmięszany zwrócił się do młodzieńca, który tymczasem w kąt się wcisnął.

— Imię twoje napisane było na czaku? zapytał przerażony.

— Tak jest.

— Nieszczęśliwy. Rozjuszony twoją ucieczką tłum przeczytał imię i chce napaść na wasze mieszkanie.

I ty zezwolisz na to?

— Sprzeciwiać się nie mogę, bobym stracił zaufanie. Nie mogę zapobiedz temu.

— Wydaj mnie. Niechaj się zemszczą na mnie.

— To nic nie pomoże. Zdradziłbym się, żem cię uratował, a tem nie uratowałbym twojej rodziny.

— A jeźli wymordują te niewinne istoty, na czyją głowę spadnie ich krew niewinna?

— Na moją. Lecz daję ci sposobność odwrócić odemnie tę hańbę. Spełnisz?

— Mów.

— Przebierzesz się i pójdziesz szybko do Klausenburga, zbierzesz swoich towarzyszy i z nimi pospieszysz bronić swej strzechy ojczystej. Tam poczekam na ciebie i będziemy walczyć ze sobą, jeźli takie przeznaczenie; zabijesz mnie, albo ja ciebie, a walka nie będzie hańbą szeregów w otwartej szlachetnej walce.

— «Dziękuję, dziękuję!» szepnął młodzian, ściskając gorąco dłoń śmiertelnego swego wroga.

— Spiesz się, tam leży siermięga, ubieraj się, bierz tę pażurę [1]) i gdyby cię kto zatrzymał pokaż mu ją i powiedz imię moje; to nic nie szkodzi, że nie umiesz po rumuńsku, ludzie moi przyzwyczajeni do tego, bo mię często odwiedzają przebrani panowie węgierscy, a z twarzy, którą w nocy widziano nie pozna cię żywa dusza.

Nim się przebrał młodzieniec, rozmawiał trybun z tłuszczą; zgodził się na żądanie i kazał wyruszyć na zamek, obiecując, że sam pospieszy za niemi niebawem.

— Przyjm na pamiątkę konia, rzekł młodzieniec do trybuna.

— Przyjmuję, możesz go sobie odebrać we walce, ale się spiesz, żebyś się spóźnił. Opóźnienie przyniesie ci żałobę a mnie hańbę.

Po chwili szybkim krokiem szedł młodzieniec ścieżką wiodącą wśród gór ku Klausenburgowi.

* *

*

Było już po północy.

Mieszkańcy pałacu Bardy spali spokojnie. Zamknięte były drzwi sztachet, okna ciemne, kiedy naraz piekielna wrzawa przebudziła pogrążonych we śnie.

[1]) Paszport.

— Co to za hałas? krzyknął Józef wyskakując z łóżka i spiesząc do okna.

Na dworze przy świetle kilku pochodni snuł się tłum niezliczony, wywijając wśród krzyku kosami i sierpami.

— «Wołochy!» wrzasnął wbiegający koniuszy cały drżący, który przebudzony tym piekielnym wrzaskiem wpadł do swego pana. «Wołochy!» krzyczy drugi lecący w ślad pierwszego. Wszyscy bladzi jak ściana.

— «Pozamykać drzwi! rozkazuje młody pan przytomnie — «główny wchód zabarykadować stołami jadalni. Zawołajcie Barabasza i starego, kobiety pójdą w tylną część budynku. Nie trzeba się mięszać. Wy wszyscy zejdziecie się w pokoju balkonowym, zkąd można obronić cały budynek.

Zdjął dwie strzelby ze ściany i poszedł do pomieszkania swego brata Tomasza.

Ten już był ubrany. Dziwna rzecz. Najpiękniejszy wziął na siebie ubiór węgierski, u boku wisiała ciężka krzywa szabla; zresztą przechadzał się spokojnie. Z jego pokojów wychodziła wspomniana rondella.

— Czy słyszysz ten hałas? zapytał go Józef wchodząc z twarzą rozpłomienioną.

Tomasz ruszył ramionami. «Spodziewałem się tego» odrzekł zimno przechadzając się po pokoju.

— Czemuż nie zbierasz się do obrony?

— Do czego to? Wymordują nas. Byłem na to przygotowany i już jestem gotów. Tak być musi.

— Ale nie będzie, jeźli się będziemy trzymać odważnie. Ośmiu nas jest mężczyzn, mury pałacu są mocne, napastnicy bezbronni i nie sprzyja im nawet ich położenie. Możemy się bronić dni kilka, nim nadejdzie pomoc z Klausenburga.

— Zginiemy, odrzekł Tomasz zimno i ani jedna żyłka nie drgnęła na jego twarzy.

— A więc ja sam będę bronił całego domu, ja mam żonę, dzieci, mam starą matkę, mam siostry. Ja będę ich bronił, choćbym pozostał sam jeden.

W tej chwili weszli Barabasz i Szymon, a z nimi kobieta w żałobie.

Barabasz niósł w prawej ręce okropny dwudziestofuntowy żelazny młot, zgrzytał zębami i z roziskrzonymi zbliżał się oczyma; poznać było po nim, że sam jeden gotów był napaść całą tłuszczę.

Za nimi szła wdowa z pistoletem w ręku.

Na końcu lazł stary Szymon, cały drżący, błagając z płaczem, aby nie używano gwałtu.

— Trzymajcie się odważnie, rzekła suchym głosem wdowa. Nie trzeba za darmo dać życia.

— Chodźcie za mną, zapędzimy ich do piekła! — krzyknął atleta, wywijając ciężkim młotem jakby piórkiem.

— Nie trzeba się spieszyć, stańmy tu w tej rondelli, ztąd każdego kto się zbliży zastrzelimy, a potemu jeśli tego potrzeba będzie możemy walczyć na schodach.

— Ja wam będę nabijać strzelby, dorzuciła wdowa.

— Dla Boga, jęczał Szymon, co chcecie robić. Jeżeli zabijecie jednego, wymordują nas wszystkich. Nie róbcie tego. Trzeba z nimi pomówić łagodnie, trzeba im przyrzec wina, zaprowadzić do piwnicy. Dajcie im pieniędzy, ułagodźcie ich. Tomaszu, pomów ty z niemi! wrzeszczał stary, obracając się do tego, który bez najmniejszego wzruszenia chodził po pokoju.

— Daremne wszystkie zabiegi, daremna obrona, zginęliśmy wszyscy, odparł zimno.

— Niema czasu do stracenia, przerwał Józef niecierpliwie, zabieraj Barabaszu broń ze ściany i rozdziel ją między służących; oni niech zostaną przy tylnych oknach, a nas dwóch wystarczy

tutaj. Stań sobie siostro za oknem, żeby cię nie uderzyli kamieniem. Przy nabijaniu uważaj, żebyś mocno kul nie przybijała, bo nie będzie można strzelać celnie.

— Ja nie dam wam strzelać — wrzeszczał starzec, odciągając Józefa od okna. Nie wolno strzelać! Stójcie spokojnie!

— Idź do piekła stary. Może chcesz nas święconą wodą bronić przeciw gradowi kamieni.

Na te słowa wpadło kilkanaście kamieni łamiąc sprzęty i co stało na drodze.

— Poczekajcie, niech ja pomówię z nimi, błagał Szymon, ja ich uspokoję, rozumiem ich język. To wszyscy moi znajomi, dobrzy ludzie, pójdę do nich!

— Źle robisz. Jak ich będziesz prosić, zamordują cię, a działając przeciwnie, zlękną się. Zostań tu i bierz pistolet do ręki.

Już nie słyszał tych słów stary, popędził po schodach, kazał sobie otworzyć tylne drzwi, stanął na dziedzińcu, który już był w ręku napastników i zaczął mówić błagalnym głosem do oblegających.

Usiłowali oni zburzyć jeden z kamiennych słupów bramy i jeden z nich skoczył przez wywalony otwór. Do tego zwrócił się Szymon. Poznał go.

— Synu Lupuj, czego chcecie tutaj? czyśmy was zaczepiali? Przypominasz sobie, ile wyrządziłem ci dobrego, nie kazałem ci leczyć żony w słabości? nie wykupiłem ciebie z wojska? nie dałem ci dwie ładne jałówki, kiedy ci wyginęło bydło? Czyż mię nie poznajesz, synu Lupuj?

— Nie jestem ja teraz Lupuj, ale powstaniec! krzyknął Wołoch i wielki jego młot spadł całym ciężarem na siwą głowę błagającego starca.

Ten z przeraźliwym krzykiem upadł i skonał.

W tej chwili pękł filar, z nim razem runęła brama, a przez wyłom jak rój sypała się tłuszcza, pędząc ku trupowi, którego głowę odcięli siekierą.

Na górze w rondelli przypatrywali się tej scenie.

Na widok tego wypadł Barabasz z zabiegłemi krwią oczyma jak wściekłe zwierzę z komnaty; Józef przyczaił się do ściany i w chwili kiedy na drągu podniesiono krwawą głowę starca, zastrzelił tego, co trzymał drąg w rękach. Pochwycił ją drugi, zastrzelił i tego. Strzelał i zabijał każdego, kto tylko się dotknął głowy, aż w końcu już się nikt więcej nie odważył wziąć jej do ręki.

Wdowa w żałobie nabijała broń, Tomasz siedział spokojnie w krześle poręczowem.

Tymczasem Barabasz wybiegł na strych. Tam leżały kawałki rozebranych pieców żelaznych; poznosił je więc do okna głównym wchodem.

Potem wychylił twarz swoją rozżarzoną i spojrzał po tłumie, czekając aż się zbiorą przed drzwiami i zaczną je pchać i walić.

Wtedy wzniósł obydwiema rękami cetnarowy kawał żelaza po nad głową i rzucił go w środek ściśnionego tłumu.

Głuchy rozległ się okrzyk, oblegający odskoczyli od bramy, czterech lub pięciu padło na ziemię, zgnieceni zrzuconym ciężarem.

Po chwili tym wściekłej rzuciła się banda na bramę, a cały pałac zasypał grad kamieni.

Barabasz nie zważając na lecące kamienie usiadł w oknie i rzucał ztamtąd ciężkie bryły żelaza, posyłając za każdym razem dwóch lub trzech na drugi świat.

Z rondelli padały strzały jeden za drugim. Ani jeden nie padł daremnie. Napastnicy dużo stracili i już tracili odwagę kiedy jeden służący cały blady wpadł do Barabasza dając znać, że oblegający wciskają się z tyłu po drabinach a służba nie może im dać rady.

Z wściekłością rzucił się Barabasz.

W tylnej komnacie leżał sam jeden koniuszy, zarzucony na śmierć kamieniami i już można było słyszeć krzyk cisnącej się zgrai, która przystawiła drabinę i drapała się do góry.

Tam wpadł Barabasz. Zobaczył, że do okna drugiego pokoju przystawiona jest drabina, po której dobywają się Rumuni, podczas gdy przez drugie okno widać już głowy napastników.

— «Naprzód łotry!» krzyknął cały rozogniony, chwycił koniec drabiny, przewrócił ją na drugą stronę, wstrząsł nią tak, że pospadali z niej wszyscy; potem nadludzką siłą podniósł ją do góry i wywinąwszy nią w powietrzu z okropnym zamachem uderzył w drugą drabinę.

Pod tym okropnym uderzeniem złamała się drabina w środku, górna jej część wraz z wiszącymi na niej upadła na ziemię, jeden z nich zawisł przy oknie dopóki po okropnych wytężeniach nie spadł i nie roztrzaskał się na dole.

Usta Barabasza pokryły się pianą, krew zabiegła oczy, twarz posiniała. Z taką twarzą wpadł do przyległego pokoju.

Był tu jeden z oblegających, który szedł na przodzie. Tego tu zastał.

Człowiek ten zbladł i wypuścił młot z ręki na widok Barabasza. Zdrętwiał z przestrachu — tak okropnie wyglądał ten olbrzym.

Z próżną ręką ale szalonym gniewem rzucił on się na nieprzyjaciela, a chwyciwszy go za wyciągniętą niby błagalnie rękę, przyciągnął do siebie i wyrzucił przez okno. Człowiek ten młynkując w powietrzu, poleciał daleko.

— Tutaj, tutaj, kto chce umierać! krzyczał atleta. Krew ciekła mu z ust, w skutek uderzenia kamieniem. «Tu do mnie, ilu was jest!»

W tej chwili rozległ się okropny hałas.

Wołosi znaleźli drzwiczki, które Szymon nierozważnie zostawił otwarte i już dobyli się do wnętrza budynku, kiedy to spostrzegła jakaś służąca i krzykiem krew w żyłach ścinającym dała znać oblężonym o niebezpieczeństwie.

Zabito ją na miejscu.

Barabasz usłyszawszy ten krzyk, chwycił ciężki swój młot i pobiegł na schody.

Na korytarzu spotkał się z bratem Józefem, który spostrzegłszy nieprzyjaciela wewnątrz domu, zaprzestał bronić bramy i pospieszył z bronią w ręku na schody, odprowadzony przez wdowę.

— Idź siostro do moich, zaprowadź ich na strych. My tymczasem stopniowo będziemy schodów bronić. Ucałuj tam żonę i dzieci moje. Jeżli nas zamordują, zdaje mi w jednem odpoczniemy grobie. Tam się zobaczymy.

Nie potrzebowali czekać długo.

Wdowa odeszła. Dwaj bracia uścisnęli się milcząco, stanęli na schodach i oczekiwali nieprzyjaciół.

Z śmiertelną zemstą walił się tłum po wązkich kamiennych schodach.

— Ha! Tak was lubię, tak z bliska! krzyczał Barabasz, podnosząc ciężki swój młot w obydwóch rękach i zaczął bić nim oblegających.

Szybko jak skrzydła wiatraku, a ciężko jak pioruny padały uderzenia jego, zawsze w jedno miejsce. Kogo młot trafił ten nie wstał więcej. Schody zaczęły się zapełniać potłuczonemi czaszkami, połamanemi piersiami i powykręcanemi członkami. Silny huk ciężkiego młota i śmiertelne stękanie konających odbijało się o sklepienie pałacu.

Napastnicy poczęli uciekać bez pamięci popychani przez stojących z tyłu. Olbrzym odpierał ich niezmordowanie, torując sobie drogę silnemi razami swego straszliwego młota.

Już ich odparł prawie do stóp schodów, kiedy jeden z najezdników, schowany we framudze niespostrzeżony przebił go długim rożnem.

Z okropnym krzykiem zwrócił się ku swojemu mordercy, cisnął młot za uciekającą przed nim tłuszczą z wyrazem okropnej nienawiści na twarzy, porwał ostatkiem sił mordercę swego za ramię i upadł z nim razem.

Strzały jego brata położyły czterech pierwszych trupem, którzy nadbiegli w pomoc mordercy. Nie mając więcej nabojów z obróconą kolbą rzucił się potem Józef do obrony brata, ale go rozbrojono po krótkiej walce.

Wyprowadzili go do żelaznego krzyża na skale, tam go rozkrzyżowali i zamordowali wśród okropnych męczarń.

Kiedy atletę chciano oddzielić od mordercy, już z nich nie żył żaden. Ostatkami sił swoich zadusił rabusia i tak zakrzepły mu ręce w uścisku.

Musieli mu poobcinać ręce, ażeby z nich wydobyć Wołocha—trupem.

Z mężczyzn Tomasz jeden żył jeszcze z rodziny i oczekiwał w swoim pokoju rozbójników ze spokojną twarzą.

Siedział w poręczowem krześle, przed nim paliły się dwie świece woskowe, oświecając dumne, ostre rysy arystokraty.

Siedział spokojnie, słyszał krzyk zbliżającej się do jego komnaty zgrai, a serce jego nie uderzyło głośniej, silniej niż przedtem.

Wyjął szeroką krzywą swą szablę i położył przed sobą na stole, potem oparł szerokie czoło na dłoni i patrzał na czarną klingę zapisaną nieznanemi literami.

Krzyk był coraz bliższym. Naraz uderzono w drzwi; rozwarły się one, bo nie były nawet zamknięte.

Szlachcic wstał z krzesła, podniósł ze stołu szablę i oparł się lewą ręką o poręcz, niemo, zimno stojąc przed swoimi przeciwnikami.

Ci rzucili się na niego z przekleństwem, wywijając kosami, z których sączyła się krew zamordowanych.

Szlachcic stał nieruchomo, jak posąg dopóki się jego przeciwnicy nie zbliżyli na dwa kroki. Wtedy zabłysnął w jego dłoni błyszczący czarny oręż i jeden z napastników padł na ziemię z rozciętą czaszką; wyciągniętą przeciw niemu rękę drugiego odciął przy samym ramieniu.

Nie rzekł ani słowa. Ani jeden głos gniewu nie wyszedł z jego ust. Twarz jego została zimną, bladą, oczy jego nie obracały się, nie błyszczały, tylko patrzyły z pogardą niemo, nieruchomo po nad głowy nieprzyjaciół, gdy tymczasem błyszcząca jego szabla ze zwinnością fechtmistrza chwytała wymierzone przeciw niemu uderzenia i rozdzielała cięcia na głowy i twarze przeciwników.

Ci wrzeszczeli wściekle. Im więcej zranił, tem wściekléj napadali na niego. On zimno z pogardliwem walczył obliczem, dłoń obracała się tylko. Cała jego postać była nieruchoma, jak rysy jego twarzy.

Dowodził niejako, że w bitwie jeden szlachcic wart dziesięciu chłopów.

W końcu rzucona kosa ciężko zraniła wygiętą jego nogę. Bez jednego głosu bólu ukląkł szlachcic i walczył dalej. Oręż błyszczał po nad jego głową. Ciągle z tem samem bladem obliczem, z tym dumnym, nieruchomym wzrokiem.

Po długiej męczącej walce coraz więcej się pochylał, w końcu upadł na znak. Nie wymknął mu się z ust ani jeden głos bólu, ani jeden jęk śmiertelny.

Fale wściekłej tłuszczy przepłynęły po nad trupem szlachcica, a po chwili wzniosła się jego głowa, wbita na jego własnej szabli.

On był z rodziny ostatnim mężczyzną, którego musieli pokonać.

Z jego śmiercią tylko kobiety i dzieci zostały w domu.

Ale napastników więcej jak stu leżało na dziedzińcu, przed drzwiami i oknami, na schodach, a kiedy czasami umilkł okrzyk zwycięztwa słyszeć się dawały głośne stękania konających i rannych.

* *
*

(Ciąg dalszy nastąpi).

NEGRY.

BAJKA.

(„Les Negres et les marionettes.“)

Raz przepływał niezmierne Atlantyku wody
Okręt, pełen murzynów w Afryce kupionych.
Lecz kapitan rozpaczał, tak miał wiele szkody;
Wszystkich Negrów tak zdrowych, tak dobrze złożonych,
(Bo zacny handlarz znał się dobrze na towarze)
Jakaś rozpacz czy tęskność tak śmiertelna gnębi,
Że trupów tuzinami w morze rzucać każe!..
Kapitana więc trwoga nie na żarty ziębi!
Był pewny z Ameryki wrócić z dobrym zyskiem, —
Tu strata!.. Jak się bronić przed bankructwem bliskiem?..
„Batożyć? — Nic skutkuje, choć ćwiczę koleją!..
„Jeszcze gorzej być może, gdy rozkuję pęta...
„Myśl nowa: niech się bawią! niech się psy pośmieją!..
„Wymyślmy im uciechę: śmiejcie się bydlęta!..“

Więc mądry handlarz ludzi, każe na pokładzie.
Stawić ławę — parawan... Już scena gotowa...
Zawiesza to kilimem, ku większej paradzie, —
I kuchtę Kopcidymka za parawan chowa...
A notabene, kuchta Kopcidymek słynął
Z talentu do błazeństwa, bo był głupi nieco...
Toż skoro go wezwano, rączo się uwinął:
Umursał się — i stanął na ławie ze świecą...
Pospędzano na pokład Negrów... Nic nie wiedzą —
Więc, gęby otworzywszy, dziwią się i siedzą...
Wtem — zasłona odkryta... I z dobrą nadzieją,
Krzywiąc się: „a-hu!“ woła postać kuchty zmięta...
„A-hu! ahu!.. powtarza... Negry już się śmieją...
Kapitan ręce zatarł: „Smiejcie się, bydlęta!..“

Akt drugi: Tuż przy kuchcie, który twarz obmazał,
Jeszcze bardziej, ku większej zebranych zabawie, —
Jawi się stara baba, (bo tak kuchta kazał
Jednego z majtków przebrać) — i staje na ławie... —
Baba z wąsami, a więc niesłychanie śmieszna!..
Tedy kuchta — nuż ściskać i całować babsko,
Skakać z nią... To już scena niezmiernie pocieszna!..
Wreszcie — smaruje sadzą szerokie swe łapsko, —
I wal w twarz biedną babę — raz, drugi i trzeci...
I spycha ją na ziemię... Baba z ławy leci —
Omdlewa — a więc zimną wodę na nią leją...
A kuchta „a-hu!“ krzyczy — „hu! baba przeklęta!..“
Negry nie czują kajdan — tak się bardzo śmieją...
A kapitan rad z siebie: Smiejcie się, bydlęta!..“

Nie koniec na tem. Znowu kilim się odkrywa —
Zjawia się postać diabła czarna i wesoła...
Przedziwne robi sztuki: to ogonem kiwa
Pod sam nos kuchcie, który złapać go nie zdoła,

To szczutka w łeb mu utnie, to nogę podstawi
I potem upadłego dźwiga za czuprynę...
Słowem, że jak kot z myszą, czart z kuchtą się bawi!..
A Negry podobają sobie djabła minę
I jego skórę czarną jak ich własne skóry...
Toż, gdy oburącz wziąwszy, wzniósł kuchtę do góry, —
Oczy Negrów zabłysły tryumfu nadzieją:
Zapomnieli, jak ciężkie krępują ich pęta!..
Kuchta — „hu!“ smutnie woła... więc oni się śmieją...
A kapitan aż rośnie!.. „Smiejcie się, bydlęta!..“

Tak tedy wynalazca przedziwnego środka
Odpędzania symptomów śmiertelnej rozpaczy,
Przekonał się, że strata nadal go nie spotka,
Gdy niewolników czasem zabawą uraczy...
Kombinował więc farsy coraz dowcipniejsze...
A kuchta, pan Kopcidym, który je poddawał,
Wnet na okręcie zajął miejsce najświetniejsze!..
Radzi z siebie, przebyli oceanu kawał..
A gdy kapitan wreszcie sprzedał Negrów z zyskiem, —
Obdarzył kuchtę złotem i bratnim uściskiem!..

. . . .

Czyliż tylko z Negrami podobnie się dzieje?..
Wszędzie, gdzie chcą utrwalić niewolnicze pęta, —
Bawią lud błazeństwami... Głupi lud szaleje —
A rząd ręce zaciera: Smiejcie się bydlęta!..“ —

Z Berangera, **L. Kozłowski**

Z WŁOCH.

przez S. M

Ciąg dalszy.

Bizantyński. Przeniesienie z Rzymu do Bizancyum stolicy państwa przez Konstantyna, pod każdym względem wpływ wielki bardzo wywarło. Przez nie imperium azyatycką się stało monarchią. Chrześcjaństwo z religji uznanej, stało się wiarą panującą, a do tego dworską, urzędową. Hierarchja się wykształcała, a okazałość i przepych stały się koniecznemi. Pod temi to warunkami, prawdziwie włoski, skromny i szlachetny styl romański zamienił się w bizantyński. Zaczęto budować kościoły w kształcie krzyża równoramiennego. Naprzód stawiano kopułę na przecięciu się jego ramion. Później każdy z pięciu kwadratów krzyż składających nakrywano kopułą, a każde ramię półokrągłą absydą, półkopułą nakrytą kończono. Nastała ciężka ornamentyka, a freski zastąpiono mozajką i złoconemi ścianami. Lecz jak rozdział państwa i schisma kościoła zwolna się dopiero przygotowywały, bo wieki całe trwający wpływ Bizancyum na Włochy tem większego nabierał znaczenia im bardziej politycznie i umysłowo upadała Italia, tak też i styl bizantyński, choć poza niemi zrodzony, pozyskał sobie prawo obywatelstwa we Włoszech. Kościoły Śgo Marka w Wenecyi, San Vitale w Rawennie, i tyle innych są arcydziełami tego budownictwa, — a o wielkiej liczbie cudownie pięknych świątyń, trudno orzec z pewnością, czy one do romańskich, czy też do bizantyńskich należą, gdy oba style w sobie łączą, gdy są przejściem z jednego w drugi.

Wenecyan handel i morskie wyprawy tyle sprowadziły ze wschodu wyrobów złotniczych, bronzowych, mozaik, malarstwa, rzeźbiarstwa, że sztuka bizantyńska, podobnie jak dawniej grecka, także w panteonie włoskim swe pomieszczenie znalazła.

Gotycki. Znalazł się tu również i gotycyzm, z maurytańskiemi gdzie niegdzie odcieniami. Lecz pod wesołem niebem południa, sprzyjającem światowemu usposobieniu, przy żywotności klasycznych tradycyj, przy sile i dawności miejscowej oświaty, nie zdołał tutaj zakorzenić się mistycyzm i styl pełen transcendentalnej poetyczności. Jak Lombardy lub Normandy, zaledwie na włoskiej ziemi osiedli, mięszając się z krajowcami, tracili swą narodowość, tak i gotycka sztuka, modą ówczesną ogólną do Italji przeniesiona, nietylko nie potrafiła miejscowej zagłuszyć, ale przeciwnie, jej wpływowi zupełnie uległa. Gotycko-Maurytańskie pałace Wenecyi tak niepodobne do zamków niemieckich baronów, jak medyolańska, pizańska, florencka katedra do Notre Dame paryzkiej, Śgo Szczepana w Wiedniu, lub Strasburskiego kościoła. Przyjęto bowiem wprawdzie szczegóły i ornamentykę gotycką, ale je do konstrukcyi narodowej, romańskiej zastosowano. Zachowano linię horyzontalną jako panującą, niebacząc wcale na pionową. Jaskrawe też ubieranie świątyń od zewnątrz w różnokolorowe marmurowe mozajki, sprawia wręcz przeciwne wrażenie niż z wiekami zczerniałe ściany tumów północnych. Nawet owe przez żebracze zakony wprowadzone tu ceglane budowle, jak Frari lub Giovane e Paolo w Wenecyi, z długiemi ostrołukowemi oknami w poprzeczne piętra podzielonemi, z wielokątnemi o płaskich dachach przybudowaniami, a przecież niby gotyckiemi, są tylko wesołym i miłym anachronizmem, i wyglądają, jak światowe dziewczę co z pustoty się zakonnym kwefem udrapowało.

Renesans. Wkrótce też moda gotycka, pozostawiając jednak niezrównanej piękności pamiątki po sobie, — przeminęła. Ustąpić bowiem musiała nowo nastałemu, chwałą Włoch będącemu stylowi odrodzenia, który na cały świat się rozszerzywszy, dotąd rzec można, panuje. Nie tutaj miejsce szeroko opowiadać, jak się rzeczywiście sztuka do nieznanej dawniej wielkości i wspaniałego rozkwitu odrodziła, w skutek zwrócenia się do studjów natury i arcydzieł starożytnych, który to zwrot w martwe jej i skościałe wyobrażenia tchnął nowem życiem i świeżą, czerstwą krwią je napełnił.

Lecz, gdy tu mowa o architekturze, jestże renesans istotnie nowym stylem, jak za to uchodzi? Znamieniem jego, że uwzględniając w konstrukcji nasze potrzeby, a więc nie krępując się greckiej świątyni kształtami i piętro budując, zapożycza się od starożytnej, klasycznej sztuki co do szczegółów i co do ornamentyki. Lecz on we Włoszech nie pierwszy, lecz trzeci z rzędu to czyni. Pierwej stało się podobnież z grecką sztuką, a potem ze stylem gotyckim, a co powyżej właśnie za rzymskiego stylu znamię uznaliśmy. Atoli przypatrzmy się raz jeszcze łukom tryumfalnym, trzechpiętrowemu Coloseum, sklepieniu w bazylice Konstantyna strojnemu w kasetony, przypatrzmy się wszelkim sprzętom znalezionym w Pompei, owym stołom, kandelabrom, owej studziennej nyży mozajkowej, od której dom Nr 36 otrzymał nazwanie, przypomnijmy sobie, że sławne arabeski Rafaela w loggiach watykańskich, za typ renesansu uchodzące, są tylko zupełnie wiernem naśladowaniem malowań znajdujących się w termach Tytusa (odkopanych w XVI wieku, a będących podobno resztkami złotego domu Nerona), spojrzyjmy na pompejańskie malowanie i owe w domu ojca Nerona na Palatynie się znajdujące; czyż to wszystko nie najczystszy i najpiękniejszy renesans? Bo owe płody rzymskiej sztuki, jak i ten styl, o którym mowa, są jednem i tem samem, to jest umiejętnem i estetycznem zastosowaniem, a nawet dalszym rozwojem i kształceniem po Grekach otrzymanej spuścizny, nie zaś zupełnie nowym i odrębnym stylem.

Barocco. Zbytecznem byłoby dowodzić, że styl rococco, czyli barocco, jest tylko dalszym ciągiem renesansu i jego, chociaż często najponętniejszem i najśliczniejszem, skażeniem (wspomnijmy tu kościół Jezuitów w Wenecyi). Ze stylem tym jak z muzyką Offenbacha, mówimy o niej z lekceważeniem, potępiamy ją, lecz się od niej oderwać nie możemy i w niej się lubujemy.

Z pobieżnego tego przeglądu okazuje się więc, że pomimo, iż we Włoszech istniało budownictwo greckie, bizantyńskie i gotyckie, przecież utworzyła się osobna architektura, która czy to jako rzymska, romańska, renesansowa lub barocco, zawsze jednak, nawet w tych podziałach była jedną, nieprzerwaną, narodową, a każdy raz stawała się zarazem i uniwersalną.

Rzeźba. Rzekło się powyżej, że Chrześcijaństwo biedne, prześladowane, a z mozaimu wyszłe, własnej nie mogło mieć sztuki. Zostawszy panującem wyznaniem, musiało w swych estetycznych potrzebach posługiwać się artystami, swymi współwyznawcami, zapewne nie pierwszorzędnymi, a gdy wówczas innej sztuki nie było, wyszłymi z klasycznej szkoły. Słowem chrześciańskie rzeźbiarstwo mogło być niższem, lecz musiało podobnem być do rzymskiego. Gdy zaś wówczas w ogólności sztuki piękne podupadły, więc i chrześcijańska rzeźba nie mogła być doskonałą. Wiadomo przecież, iż by ubrać łuk tryumfalny Konstantyna W., użyto płaskorzeźb z rozebranego na ten cel Arku Trajana, chociaż takowe tegoż, a nie Konstantynowe dzieła przedstawiały.

Bareliefy zaś wtedy dorobione, smutno swą lichotą od nich się wyróżniają. Niema w nich ani poczucia piękna, ani żadnego artyzmu, rysunek zaś niedokładny i zupełny brak anatomii. Uderzają jedynie wielką swą naiwnością.

Taką też była i sztuka chrześcjańska, a różniła się tylko treścią przedstawianego przedmiotu. Czerpała go bowiem szczególniej w bareliefach na sarkofagach z pisma św. nie z mitologji, a wkrótce stworzono także religijną alegorją, nakształt dotychczasowej świeckiej, rzymskiej.

Lecz na rozwój rzeźby szkodliwy wpływ wywarło podrzędne stanowisko, jakie w romańskiem i bizantyńskiem budownictwie zajmowało. Gdy dla posągów w starożytnym świecie osobne świątynie stawiano, musiały one w gotyku kontentować się tem, że ich do zdobienia pinaklów, opraw drzwi głównych itp. używano. Jedynie snycerstwo wyzwolić się nieco zdołało.

Dopiero w Renesansie rzeźbiarstwo ważniejszą znowu gra rolę. Zdobi ono ambony, pomniki i frontowe ściany kościołów, stawiając w osobno na to przeznaczonych nyżach posągi.

Znamieniem jednak podrzędności rzeźbiarstwa jest, iż często płaskorzeźby (wielokrotnie z bronzu odlewane), aczkolwiek arcydzieła i robotą swą widza zachwycające, zdobiące ściany, drzwi, ambony itd. co do rodzaju kompozycji zbliżają się do malarstwa, przedstawiając osoby i przedmioty na kilku planach i według różnej skali, stosownie do większej lub mniejszej perspektywicznej odległości (Ghibertego sławne drzwi florenckiego Babtisterio, Lucca della Robia kolorowe terrakoty i wielu innych). Przecież Jan z Bolonji, Benvenuto Celini, Michał Anioł rzeźbie niepodległość znowu wrócili, a wracając się do greckich tradycyj i te wskrzeszając, tem samem cały cyklus zamykają [1]).

Wynika więc z powyżej powiedzianego, że rzeźba w starożytności na wysokim stopniu doskonałości stojąca, potem jeszcze za Cezarów podupadła, różne wprawdzie fazy rozwoju przechodziła, ale nigdy właściwie charakteru swego nie zmienia i zawsze grecko-rzymską, to jest italską pozostała.

Malarstwo. Co nam Pompei, prywatny dom Tyberyusza i złoty dom Nerona przekazały, aczkolwiek bardzo pouczające, odnosi się tylko do pewnego, krótkiego okresu czasu. Poprzednich i późniejszych kolei, przez które starożytne malarstwo przechodziło, nie znamy. Wnosić jednak należy, iż wówczas, gdy budownictwo i rzeźba upadały, podobnież i ze wspomnianą sztuką dziać się musiało. Gdy zaś, jak to już kilkakrotnie wspomnieliśmy, chrześcjaństwo jedynie klasyczną sztuką posługiwać się mogło, więc najdawniejsze chrześcjańskiego malarstwa zabytki dają nam miarę współczesnego stanu tego kunsztu u Rzymian. Takiemi przedewszystkiem są owe po katakumbach znajdywane freski, ktore również symboliczną swą treścią lub scenami ze Starego i Nowego testamentu wziętemi, lecz bynajmniej nie rodzajem ani techniką od rzymskich różnić się mogą. Ogólnym bowiem było zwyczajem, że pewne rodziny lub stowarzyszenia (Collegia), w miejscach przez siebie zakupionych, w podziemiach stosownie do tego wyrobionych, swych zmarłych chowały. Tak czynili żydzi, tak wyznawcy Mitry, po których dotąd osobne katakomby w Rzymie się przechowały, to było również od II. do początku Vgo wieku zwyczajem chrześcjan. Do najstarszych zabytków należą mozajki z IV. wieku u św. Pudencianny i owe z V. w Sta Maria Maggiore i u św. Sabiny, a także freski z czasu od V-go do Xgo wieku odkryte w kościele św. Klemensa zbudowanym w r. 1108, pod którym znaleziono i odkopano kościół wspominany w r. 392 przez św. Hieronima, a stojący znów po nad domem mieszkalnym, pod którym nareszcie świątynia Mitry się znajduje.

Przegląd tych chrześcjańskich, malarskich zabytków z przeciągu 900 lat, okazuje wprawdzie nizki ich stopień, niewykształcenie, dziwną prostotę i sztywność, ale niczem nie usprawiedliwia nadawanego im zwykle miana bizantyńskich, gdy istotnie bizantyńskie przecież bardzo od nich się różnią. Po freskach z Xgo wieku znajdujemy mozajki z XI. i XII. stulecia w kościele św. Marka w Wenecji (zbudowanym w latach 976 do 1071) i już dochodzimy do Cimabue i ucznia jego Giotto (1276—1336), od których się datuje początek odrodzenia malarstwa.

Lecz postępy objawiają się tu tak nagłe, że gdy w pierwszej połowie XV. wieku w dziełach malarzy Vivazini, Carapaccio, Gentille, Jan Belini i jego uczniе Cima da Conegliano jeszcze nas wielka naiwność i skromność w dążeniach uderza, w tymże jeszcze wieku pojawiają się najwięksi mistrze, jacy dotąd żyli i których w przyszłości zapewne nikt nie prześcignie. Dość wspomnieć następujące nazwiska: Leonardo da Vinci (1452—1519), Michał Anioł (1474—1563), Tizian (1477—1576), Rafael (1483—1520) i Andrea del Sarto (1488—1536).

Ciąg dalszy nastąpi.

[1]) Dla mnie ma Michał Anioł w rzeźbie to podobieństwo z Rubensem w malarstwie, Szekspirem w poezji, a może z Wagnerem w muzyce, że gdy jako jenjusz nadzwyczajny, zbyt indywidualnie przedmiot traktuje, wymaga dłuższego i bliższego zbadania, poznania, by go pojąć i ocenić. Zawsze jednak dla większej publiczności niektóre szczegóły pozostaną rażącemi i podobać się nie zdołają.

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Dzien 19 był dniem zamięszania, niepewności, a nawet i trwogi. Zaledwo rozeszła się wieść o złożeniu dyktatorstwa i nieporozumieniu między Chłopickim a izbami, widoczna nastała trwoga, zwłaszcza, że różne tworzyć się poczęły stronnictwa i dziwaczne z ust do ust przelatywały wieści. Przed południem wrócił wysłany do Rozena Zamojski, ktory na granicy nie był przepuszczony, dano mu tylko zapewnienie, iż wojska ross. nie mają żadnego polecenia i stoją spokojnie w miejscu. Dyktator nie chciał słuchać jego raportu i odesłał go do rady wojennej. Nad wieczorem słyszeć się dało, iż będą rabunki, że się knuje kontrrewolucja; zbierać się poczęły obywatelskie gwardje, podwojono straże, liczne patrole przebiegały ulice, domy pozamykano, słowem widoczny dał się uczuć brak rządu. Posłowie, ktorzy pragnęli ograniczyć władzę Chłopickiego, widząc takie zamięszanie i odgrażanie się młodzieży akademickiej, że zmuszą reprezentantów do nadania nieograniczonej władzy dyktatorowi, te i tym podobne okoliczności znagliły reprezentantów do jedności, poczem uradzono z dniem jutrzejszym dalej prowadzić obrady.

Dnia 20 o godz. 9 rano senat i izba poselska zgromadziły się w zamku. Ważne dyskusje będą z wszelką dokładnością opisane w gazetach, ja z mej strony tylko umieszczę, iż nadspodziewanie wszystko dobry wzięło obrót i sejm o godzinie 8 wieczorem ukończył się. Obecnych posłów znajdowało się 109, senatorów zaś 32, a w tej liczbie biskupi: płocki Prażmowski, augustowski Manugiewicz, lubelski Dzięcielski i chełmski greckounicki Szumborski. Chłopicki znowu obejmuje dyktaturę; gdy miał siadać do powozu, chciano wyprząść konie, na co nie zezwolił i otoczony gwardją honorową z akademików złożoną, udał się pieszo wśród radośnych okrzyków do mieszkania. W mgnieniu oka miasto oświecono. Sejm odbył się po rewolucyjnemu, ale ileż to zawiódł nadziei, wichrzyciele bowiem i malkontenci cieszyli się, iż nastaną niesnaski, stronnictwa, że się przeciągnie na czczych gadaniach, że będą czas tracić na roztrząsaniu czynności przeszłego rządu itd. tymczasem w krótkich chwilach wiele zdziałał. Znajdowali się wprawdzie i między posłami niegodni tego zaszczytu i zaufania spółobywateli, ale widząc większość i lękając się sądu arbitrów, ulegli i poszli za zdaniem większości.

Mnóstwo wszelkiego rodzaju krąży wieści, które wnet okazują się bezzasadnemi i fałszywemi. Słychać wszakże z pewnością, iż wyprawieni zostali do Paryża Konstanty Wolicki intendent żywności dla wojska, do Londynu młody margrabia Aleksander Wielopolski, a do Wiednia Edward R[illegible]zyński.

Wiele z dam ruskich trzymanych w zamku [illegible]rzymało pozwolenie oddalenia się; niektóre wyjechały do Dre[illegible] do

Rossji. Generałowa Lewicka podała prożbę do banku o pożyczkę tysiąca rubli srebrnych, zaręczyła zwrot, a w zastaw ofiarowała kolonję pod miastem. Lubo ta małej jest wartości, wszelakoż rząd mając wzgląd na smutne jej z córkami położenie, natychmiast udzielił jej ten zasiłek, który otrzymawszy udała się do Brześcia.

Dn. 23 Dyktator przeniósł się do pałacu Namiestników, ale zajął mieszkanie w skrzydle po gen. dywizyi radcy stanu Ksaw. Kosseckim, który z samego początku otrzymał dymisyę. Był to zdatny i pracowity urzędnik, ale przedajny. Każdy mający interes w rządzie musiał się mu opłacić, za życia zaś namiestnika trząsł wszystkiem; wiadomo jest ile senatorowie starający się o ten zaszczyt dawali mu kubanów, że przytoczę tu tylko jednego: Poletyło za kasztelaństwo dał mu tysiąc dukatów. Zebrał takim sposobem wielki majątek, lecz zręcznie i pod cudzemi nazwiskami umiał go ukrywać, sam zaś żył nader skromnie i nie szkodził nikomu.

Wczoraj i dzisiaj odprowadzono przeszło 900 jeńców ross. do Brześcia. Wielu z nich prosiło, aby mogli pozostać; przyjęto do wojska ze 20 kilku. Pozwolono im zabrać swe własności, przeznaczono każdemu dziennie po 15 gr. a na granicy otrzymają po rublu. Gwardja narodowa odprowadzająca ich ma polecenie najłagodniejszego się obejścia.

Dzień 24. Zastępca ministra oświecenia Lelewel mówił dziś w biurze, iż otrzymał list od ministra Lafitte i marszałka Gerard z Paryża z zaręczeniem, iż Francja nie omieszka nieść pomoc ojczyźnie naszej.

Dzisiejsza noc nabawiła trwogi mieszkańców, a mianowicie żydów i księży, puszczono bowiem wieść, iż pospólstwo na jednych i na drugich ma napaść. W obecnych okolicznościach, lada baśń znajduje łatwowiernych. Podwojono jednak straże i liczne patrole, lecz przedsięwzięto raczej tę ostrożność z powodu wigilji Bożego Narodzenia, ażeby podchmieleni nie dopuścili się jakowej zdrożności. I dlatego to nawet z polecenia dyktatora zabroniono nocnego nabożeństwa. Noc przeminęła spokojnie.

Dnia 25 pierwszy śnieg przypadł, lecz wnet topnieć począł i wielkie sprawił błoto. Mimo to jednak i mimo tak uroczystego święta, mnóstwo rąk pracowało około okopów na Pradze i za jerozolimskiemi rogatkami.

Dnia 26 nadbiegł goniec z Petersburga. Przywiózł depesze pod dniem 17 b. m. do przezesa rady admin. Wyraźnie się okazuje, że cesarz nie chce i słyszeć o teraźniejszym stanie rzeczy; poleca oddalić nowo przybranych członków do rady i zgromadzić wojsko pod Płockiem.

Dnia tegoż przybyło czterech oficerów z pułku piechoty należącego do korpusu Litt. prowadzili z sobą i całą kompanją, lecz nad granicą opuściło ich żołnierstwo. W Litwie z niecierpliwością oczekiwano wtargnięcia naszych. Zapał wielki, lecz tłumiony obecnością wojska.

Osobliwszą mamy porę roku, po małych przymrozkach nastała odwilż, a dziś mieliśmy w południe 6^0 ciepła.

Uzbrojenie pułków regularnych postępuje spiesznie. Zupełne już są prawie 3cie bataljony, a czwarte już się tworzą. W arsenale wielki panuje pośpiech w robocie; lecz co do pułków nowo się tworzących z krakusów, mazurów, strzelców i tym podobnych nazwisk, widzimy raczej szarlatanerją, młodzież zaciąga się wprawdzie ochoczo, lecz każdy chce być oficerem Zarzucić także należy zbytkowe i nader kosztowne mundury, w których latają dla pokazania się po mieście, teatrach i miejscach publicznych, zamiast stawienia się po swych pułkach. Lecz niestety! sami dowódcy a nawet i Roman Sołtyk regimentarz województw po prawym brzegu Wisły, trwoni drogi czas, przesiadując w kawiarni u Honoratki na Miodowej ulicy; tam go noszą na rękach, śpiewają, tańcują, deklamują wiersze, słowem zdaje się, iż jesteśmy w czasie pokoju, lub po skończonej wojnie. Tymczasem powstanie pozbawione swego regimentarza i jego sztabu, nie wie jak i co ma działać. Lud o kilka mil zgromadzony na musztry do wskazanych miejsc, nie doczekawszy się odchodzi instruktorów, stygnie w zapale, a nawet i zdrożności się dopuszcza. Tworzenie się gwardji narodowej w Warszawie najgorzej idzie, wybory oficerów po cyrkułach odbyły się przy zebraniu się czasem 30 tylko osób, inni obywatele i nie wiedzieli o niczem,—tam obrano na kapitanów, poruczników i podporuczników samych prawie kupców i to Niemców, z których wielu po polsku nie umie; ztąd wielka niechęć i powszechne oburzenie na takie pokątne wybory. Posprawiali już sobie mundury, poprzypinali szlify; widać mnóstwo tych improwizowanych oficerów, a żadnego prostego gardysty w mundurze. Słowem wszędzie przebija się chęć znaczenia, wyniesienia się, rozkazywania, a nikt słuchać niema ochoty.

W tych dniach przybyła z W. Ks. Poznańskiego Celina Działyńska, Zamojska z domu. Przywiozła z sobą kilkadziesiąt pałaszów, strzelb, pistoletów, u powozów pozaprzągane miała młode piękne konie, które oddała pod żołnierzy. Gdy stanęła na granicy, oddział z oficera i 10 czarnych huzarów złożony czatował na jej męża; dla pewności wyprawił dowódca swych jeźdźców na stronę polską, lecz ci przypiąwszy kokardy oświadczyli, iż się nie wrócą. Co się tyczy Tytusa Działyńskiego, ten w pierwszych zaraz dniach rewolucji pośpieszył do nas. Również przekradli się konno Potworowski były kapitan i baron Chłapowski, były adjutant Napoleona. Ma on za sobą rodzoną siostrę księżny Łowickiej. Wielu bardzo obywateli poprzybywało z poznańskiego i tworzą osobny legion.

Rada municypalna wezwała wiele dam i panien do zbierania kwesty na sposób wielka-nocny. Tą razą zebrane pieniądze i fanty obrócone będą na wsparcie żon, których mężowie zaciągnęli się do szeregów. Kasztelan Franciszek Nakwaski prezyduje w komitecie trudniącym się pozostałemi żonami. Kwestarki rozpoczęły już mozolną swą pracę; przydani im są w pomoc akademicy, czyli jak się teraz zowią gwardja honorowa.

W biórach komisyj rządowych i w innych, wielkie porobiono oszczędności na przyszły miesiąc, przez udzielenie uwolnień od służby. Prawda, że bióra były przepełnione, wielu znajdowało się niezdolnych, protegowanych i w całem znaczeniu próżniaków, teraz spotkał ich cios niespodziany; w nader przykrem są położeniu, rozpacz ich ogarnia. W kom. ośw. najwięcej obcięto i przerzedzono; już z samego początku zniesiona kuratorja i cenzura, następnie komitet starozakonny, towarzystwo elementarne; w pozostałych zaś wydziałach liczne podawano dymisje.

Dnia 30 przybył z Paryża Szczaniecki, potwierdził nam o zapale francuzów z powodu naszej rewolucji i udzielił niemało pocieszających wiadomości, z jaką przychylnością naród ten sprzyja naszej sprawie. Ubolewał, iż dotąd Francja nie jest urzędownie od nas o zaszłej zmianie zawiadomiona. Książe Leon Sapieha wyprawiony został z Paryża do księcia Taylerand ambasadora w Londynie.

Dnia 31 na zakończenie roku była maskarada. Mężczyzn było mnóstwo, ale kobiet ledwie kilkanaście. Przyjęto je radośnie, deklamowano wiersze, zowiące prawdziwemi Polkami!! Ponowiono dawniejsze w teatrze odgłosy, że inne Polki żałują Moskali itp. Czyż na tem patrjotyzm zależy, aby uczęszczać na widowiska w teraźniejszych okolicznościach, gdzie ile możności potrzeba się oszczędzać i oglądać na przyszłość. Czyż nie rozsądniej zachować na naglejsze potrzeby pieniądz tyle teraz drogi. Teatr i inne widowiska pozostały przy tej samej cenie jak i dawniej, w chwili gdy pensje zmniejszają, innym zupełnie posady odjęto, a żywność zdrożała. Czyż to czas myśleć o zabawach i hulankach?

Dokończenie nastąpi,

Z TEATRU.

Pan Bolesław Leszczyński skończył już gościnne swe występy na krakowskiej scenie.

Po komedji Szekspira *„Poskromienie złośnicy,"* w której występował dwukrotnie, a z której zdawaliśmy już sprawę na tem miejscu, grał on jeszcze rolę Alfreda w *„Pozytywnych"* Narzymskiego, rolę Wipskiego w *„Wielkiem bractwie"* Fredry syna i rolę Sartorisa w *„Frou-frou."*

Z tej prostej wzmianki spostrzedz już można, że p. Leszczyński ani zbyt trafnie, ani zbyt szczęśliwie wybierał sobie role dla swych ostatnich w Krakowie występów. Wszystkie one bowiem nie są *popisowemi*, i tak nie wyrastają po nad mnóstwo innych ról pospolitych i niczem niebłyszczących, że gdyby na jakimś konkursie skromności artystycznej chodziło o wybór ról jak najmniej wybitnych, to p. Leszczyński z pewnością mógłby wygrać pierwszą tego konkursu premję.

To też o ostatnich trzech występach p. Leszczyńskiego bardzo krótkie i treściwe da się sformułować sprawozdanie: rolę Alfreda w *„Pozytywnych"* wykonał przyzwoicie, rolę Wipskiego w *„Wielkiem bractwie"* odegrał przyzwoicie i rolę Sartorisa w *„Frou-frou"* oddał przyzwoicie. Ze wszystkich zaś dziewięciu gościnnych występów jego wyniosło się to wrażenie, że ma jednę rolę (Petruchcia w *Złośnicy*), którą wykonywa bardzo dobrze, jednę (Otella), w której ma pole do popisania się z siłą i energją, lecz ich nadużywa, a wreszcie repertoar artysty składa się z ról samych podrzędnych, które wykonywa... przyzwoicie — ale nic więcej...

Miejmy jednak nadzieję, że poznamy p. Leszczyńskiego lepiej i potrafimy go ocenić godniej, gdyż jak wieść pewna niesie, od początku przyszłego sezonu jesiennego wejdzie on stale w skład artystów teatru krakowskiego i rozpocznie swe występy w roli króla Jana Sobieskiego, w sztuce, która z ogłoszonego na te cele konkursu ma się wyłonić, aby być wystawioną podczas uroczystości jubileuszowych.

Występom gościnnym p. L. zawdzięczamy, że wznowiono w naszym teatrze dawno już nie graną komedję Narzymskiego *„Pozytywni"*. Znakomity ten utwór przedwcześnie zgasłego, lecz nigdy niezapomnianego komedjopisarza naszego, nigdy nie przestanie być ozdobą pierwszorzędną w repertoarze każdego polskiego teatru i najsilniejszym magnesem ku ściąganiu do sal teatralnych takiego kontyngensu publiczności, jaki się w niej tylko pomieścić zdoła. Dlaczegoż więc w teatrze krakowskim tak rzadko bywa przedstawianym? Zdaje się, że dyrekcja mogłaby i powinnaby znaleźć od czasu do czasu to miejsce, tembardziej, że właściwa a wcale nie zła obsada dla ról takich *„Pozytywnych"* w personalu naszym teatralnym przecież się złożyć może.

Oprócz p. Leszczyńskiego, który grał rolę Alfreda, w roli starego Litwina Dowgiełły, ukazał się po raz pierwszy nowozaangażowany artysta p. Siemaszko. Zdaje się być wcale dobrym nabytkiem. W ogóle widać w młodym artyście błyski talentu i dobrą szkołę. Szkoda tylko, że w roli Dowgiełły, chcąc nadać swojemu głosowi cechę starości, mówił czasami niemiłym jakimś falcetem, co stanowiło ujemną stronę wcale dobrej zresztą gry.

Afisz zapowiadający (na zeszłą sobotę 16 czerwca) przedstawienie w naszym teatrze *„Frou-frou"* z panną Kałużyńską w roli tytułowej, sprawił był pomiędzy publicznością krakowską pewnego rodzaju zdumienie „Jakto?" — zapytywali pessymiści i mizantropi. „W roli Gabrieli w *Frou-frou*," która jest kamieniem probierczym dla sił pierwszorzędnych artystek europejskich, w której najbardziej wsławiła się Sara, w której Kraków oglądał Modrzejewską i niezupełnie był zadowolony z panny Deryng, w takiej roli wystąpi młoda, ledwie kiełkująca swym talentem artystka panna Kałużyńska?.. Toż śmiałość równająca się zuchwalstwu, która musi się rozwiązać bardzo śmiesznem *fiasco*!.." Tak powiadali pessymiści lecz i ci, co dla talentu panny Kałużyńskiej w szczególności żywią uznanie i wiarę i ci nawet obawiali się cokolwiek o powodzenie młodej artystki w tej roli. Tymczasem i tym i owym panna Kałużyńska sprawiła prawdziwą niespodziankę, gra jej bowiem jako *Frou-frou* była tak poprawną, tak trafnie obmyślaną we wszystkich szczegółach i tak w ogóle dobrą, że korzystnem tej gry wrażeniem nie przeszkodziły bynajmniej ciągłe a tak niebezpieczne dla młodej artystki reminiscencje z gry Modrzejewskiej.

Kończymy na tem. Znając zaś rozsądek i skromność panny K., ufamy, że słowa powyższe nie wzbiją jej w zbyteczną dumę, lecz tylko — będą zachętą i otuchą w pracy. *A. Z*

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— Spółka literacka pp. *Madejski i Abrahamowicz* napisali krotochwilę p. t. „Tygrys."

— Autor „Niewolnika" p. *B. Czerwieński* napisał „Nieboszczyka" w spółce z p. *Aurelim Urbańskim.*

Ulubiony komedjopisarz p. *Józef Bliziński* obdarzył literaturę dramatyczną nowym utworem p. t. „Uczuciowi" komedją w 2 aktach.

— Pomnikowego wydania *dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego* pojawił się już tom I. Jestto wydanie bardzo staranne co do formy zewnętrznej, ale czemu wysunięto Psałterz naprzód i sporną ortografją p. Kryńskiego w przedmowie zastósowano, nie możemy wyrozumieć.

— W Kołomyi wychodzi *czasopismo „Turysta"* poświęcone opisom gór pokuckich i ich mieszkańców, wydawane przez znanego przyrodnika prof. Leopolda Wajgla.

— Odkryto w Paryżu nieznane dzieło *Moliera* p. t. *L'imposteur dévoilé* — satyrę dyalogowaną.

— *Dyrektorem politycznym* (sic!!) warszawskiego „Słowa" został Dr. W. M. Olendzki. Winszujemy tytułu!!

— Poemat *Izaijasza Tegnera* „Svea" wyszedł w Poznaniu w przekładzie Wawrzyńca hr. Engeströma.

— *„Ojciec Zadżumionych"* Słowackiego wyszedł w Przemyślu w przekładzie hebrajskim p. M. D. Geschwinda.

— *Powódź poezyj!* W ostatnim czasie pojawił się nowy tomik poezyj M. Konopnickiej, Józefa Kuczyńskiego, Kościelskiego, H. Feldmanowskiego, a obecnie czytamy znowu o wyjściu poezyj A. Kudasiewicza. Czy to nie za wiele dobrego naraz?!

— Ostatni Nr. „Tygodnika Illustrowanego" zawiera Canzone *Wincentego Filicaja* na cześć Jana III. w pięknem tłomaczeniu *Felicjana Faleńskiego.*

— Znany pisarz Aër wydał pierwszy tom „Historji powstania 1831 r." przez Barzykowskiego, członka rządu narodowego. Rzecz to pierwszorzędnej wartości. Cena 6 złr.

— Nakładem Gubrynowicza we Lwowie wyszła powieść *Bronikowskiego*: „Jan III. i dwór jego" 2 tomy. Cena 4 złr. 20 c.

— „Jan Paweł Woronicz," studjum literackie *Rudolfa Ottmana* wyszło i znajduje się na składzie głównym w księgarni K. Bartoszewicza. Cena 40 ct.

— Znanej zaszczytnie autorki: *hr. Anastazji Dzieduszyckiej* wyjdzie w tych dniach dzieło p. t. „Listy nauczycielki". Nakład księgarni K. Bartoszewicza. Cena 1 złr.

— „Humoreski" *Jana Lama* ukazały się w taniem wydaniu. Cena 60 c.

Z dziedziny malarstwa muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— „Jan Sobieski" nowy obraz *Matejki* ma być wystawionym w miesiącu Lipcu w Krakowie. Zawiązał się komitet w celu nabycia go dla Muzeum Narodowego.

— Kandydatami na posadę dyrektora Muzeum Narodowego są pp. *Abramowicz, Benedyktowicz, Lesser, Wtyński i Ziemięcki*

— Na wystawę Tow. krak. Sztuk Pięknych przybył obraz *Witolda Pruszkowskiego*: Umizgi. Znawcy podziwiają technikę. W przyszłym nrze Przeglądu pomieścimy artykuł o wystawie.

— W pracowni p. *Jana Styki* widzieliśmy będący na ukończeniu obraz: „Królowa Polska," bardzo piękny w pomyśle i wykonaniu.

— P. *Jan Krzesz* wykończył dwa bardzo ładne portrety księstwa Sanguszków. Portret zwłaszcza zmarłej księżnej w miłym trzymany jest tonie i wykonany z całą delikatnością pędzla.

— Panna *Reszkówna*, pierwszorzędna śpiewaczka europejska, warszawianka, przybywa do Krakowa dla dania koncertu na dochód pomnika Mickiewicza.

— P. *Witold Piwnicki* pracuje nad obrazem, którego treść wzięta jest z przygód Emira Rzewuskiego.

Koniec kwartału IIgo — przypominamy odnowienie prenumeraty.